



## ZOFIA STEFANIAK

Lublin, dnia 13/4

---

Zofia Stefaniak, ur. 30 sierpnia 1921 r. w Lublinie, [zam.] ul. Gromadzka 14

---

### Sprawozdanie od aresztowania do ostatniej chwili w lagrze

W roku 1941 w poniedziałek 24 marca o godzinie jedenastej przyszli po mnie do domu we dwóch, jeden wyższy i ciemniejszy od drugiego, ten był zwany przez więźniów „Dziobacz”, ponieważ miał dzioby, nazywał się Cenzartowicz. Zrobili rewizję, ale powierzchowną, po czym poszliśmy do gestapo (obaj mówili dobrze po polsku, ubrani po cywilnemu), tam przeprowadzili szczegółową rewizję, rozbierając mnie i wszystko oglądali pod światło. Po skonfiskowaniu torebki wprowadzili mnie do celi więziennej, cele umieszczone w podziemiach, długi wąski korytarz i światło mocne (elektryczne), gdzie dzień i noc się świeciło. Przechodząc przez korytarz, widziałam mężczyzn (niby widma czy cienie) trzymających się drzwi z krat kurczowo. Patrzyli, kogo prowadzą, czy nie ich żony czy dzieci.

Doszłam do celi, ostatniej, gdzie siedziało kilka kobiet. Cella długości trzech – czterech kroków, szerokości dwu – trzech kroków, wyżej okienko 20 cm zamknięte i zamalowane farbą, z boku dwie prycze jedna na drugiej, ławka i stół, podłoga cementowa, którą trzeba było koniecznie co dzień zlewać wiadrami wody i myć.

Siedziałam dwa tygodnie bez badania, napisałam do komendanta podanie, prosząc o przesłuchanie, bo nie wiem, za co siedzę i chcę, żeby mnie zwolnili. Niestety, za dobrze wszystko wiedzieli. Po tygodniu wzięto mnie na badanie i wiedzieli o wszystkim. Niejaki Galiński, który był niemieckim konfidentem, wydał nas wszystkich, to jest komendanta (naszego) który przechodził okropne tortury, mojego narzeczonego (sekcyjny), który też po dwukrotnym badaniu wkrótce zmarł, wziął winę swoją, moją i innych członków na siebie. Przez co ja – za porozumieniem się z nim – wiedziałam, co mówić i dostałam mało, gdy

mnie przesłuchiwali. To właśnie Cenzartowicz uderzył mnie w twarz, ale z taką siłą, że nie wiedziałam, gdzie jestem, zachwiałam się na krześle i mało nie upadłam. Drugi podszedł z trzcina i uderzył mnie kilka razy po plecach i głowie, zmuszając do wydania innych. Na szczęście udało mi się tak skłamać, że siebie mało obwiniłam i nie wydałam nikogo. Pomógł mi w tym mój narzeczony Edward Wojciechowski (który sam na siebie wziął wszystko i jego zamordowali w okrutny sposób). Tak mordowali tysiące mężczyzn.

Siedziałam w gestapo długo, dwa miesiące, i dużo widziałam i słyszałam. Były najrozmaitsze przyrządy do tortur jak sznury, długie gumy do bicia w stopy, nahaje zakończone zawiniętymi drucikami, które rozrywały ciało, inne zakończone gałeczkami żelaznymi. Najokropniej torturowali mężczyzn, co chwila słyszałam nieludzkie głosy z góry – to właśnie były badania. Po miesiącu badano mnie jeszcze raz, dostałam więcej batów i trzcin, a co gorsze, nie szczędzili mi rozmaitych przekleństw okropnych i wplątywali do tego Polskę (taka i taka).

Po nieskończonych badaniach odwieziono mnie autem (ja w środku, a po bokach jechali ze mną oprawcy). Jeden, który szpiegował mnie przed aresztowaniem, bo widziałam go kilka razy – gdzie wchodziłam, to on też, ubrany po cywilnemu (był to doktor), młody, dość przystojny. Jak tylko wprowadzili mnie do celi, on za kilka godzin przyszedł, stanął koło krat i przemówił do mnie po niemiecku: – No i co, mała polityczko? Przy tym roześmiał się szyderczo.

Przywieźli mnie do więzienia, cela nr 35. Obiegło mnie kilkanaście kobiet, niektóre straszne, pytając za co siedzę, pytając: nasza czy nie? Nie wiedziałam, co to znaczy, zaczęto mnie przeklinać i śmiać się, że to chyba jakaś polityczka (mówi jedna do drugiej), nie widzisz jaka to panusia, cholera jakaś w bereciku, może się źle uczyłaś, za to cię przymknęli, nie nawalaj, my cię tu nauczymy wszystkiego. Tak mi dokuczały, że nie mogłam się powstrzymać od łez, na szczęście wprowadzono p. Sobieszcząską (polityczna) i ona mnie broniła, ja jej.

Przyszła kolacja: pęczak, mnie popychają, żebym brała zupę (choć nie chciałam), jak nie chcę jeść, to im dam. No, one się nie dziwią, bo ja dopiero z domu, to jeszcze nie wiem, co to głód. Dały mi puszkę zardzewiałą i to była moja miska, łyżki nie miałam, więc nie jadłam długo, bo puszka śmierdziała rdzą, zupy były coraz gorsze. Ostatni miesiąc gotowali wodę, zaprawiali żytnią mąką i to był obiad. Na śniadanie jak zwykle kawa gorzka, kawałek chleba na cały dzień (chleb okrojony). Tak było przez pół roku, przy tym straszne warunki higieniczne: brud, wszy, pchły, pluskwy aż się roiły, w czym się chodziło, w tym się spało, uprać nie było można,

bo do pralni miały prawo tylko ulicznice, które były paniami w więzieniu. Toteż panował okropny tyfus, umierało bardzo dużo kobiet, a jeszcze więcej mężczyzn.

Na konfrontację mnie nie wzięli (miałam być konfrontowana z narzeczonym), bo on już umarł.

Po pół roku, we wrześniu, po powierzchownym badaniu lekarskim, ustawiono nas dziesiątkami na placu, gdzie przez dziewięć godzin stałyśmy (nie dali usiąść). Przyjechały auta, kryte ciężarówki, pchano nas po pięćdziesiąt do jednego. Naczelnika syn miał z dziesięć lat i bił nas prętem po nogach, jak wchodziłyśmy do aut. Stał obok i śmiał się. Trochę dalej od stacji czekałyśmy kilka godzin na pociąg, strzeżone bardzo. Weszłyśmy do pociągu. W każdym przedziale kilku SS-manów z karabinami, o tym, żeby uciekać, nie było mowy. Mnie się udało rzucić kartę pocztową, którą doręczył mamusi pewien przechodzień.

Jechałyśmy przez dwie doby bez wody i (prawie) bez jedzenia, dali nam po kawałku chleba na drogę i 10 dag końskiej kiełbasy. Obudził mnie jakiś mocny chwyt za ramię. Aha, to lager. To był Fürstenberg. Stało koło nas z pięćdziesiąt aufseherek, to jest dozorczyń z psami, które skakały na nas.

W pierwszej chwili myślałam, że jestem w piekle. Krzyk: *weiter, schneller, Ruhe* i szczekanie psów, i krzyk SS-manów, którzy się wprost znęcali nas nami, bez powodu, był okropny. Zaprowadzono nas do lagru, do kąpieli, tam rozbierali do naga, włosy obcinali do gołej skóry, przeprowadzali badania ginekologiczne, cały czas asystował nam doktor Sonntag (znany z okrucieństwa), który bił i kopał bez powodu. Tam zabrali nam wszystko. Jedna z koleżanek chciała przechować różaniec, zauważył to Sonntag, tak ją zbił i skopał, że myślałyśmy, że nie przeżyje. Wtedy wszystkie zaczęłyśmy płakać skrycie. Wiedziałyśmy, że tu dopiero będzie dla nas męka i piekło. Tak też było. Z ogolonymi głowami zaprowadzono nas do bunkra, tam siedziałam trzy doby, potem na blok, tam przez sześć tygodni miałyśmy kwarantannę.

Potem zaczęło się to piekło: apele rano od wpół do czwartej do siódmej, ósmej; w obiad też godzinę i wieczorem po pracy, od siódmej do dziewiątej. Pracowałyśmy po dwanaście godzin. Pierwsza moja praca to była przy słomie w *betriebe*: plotłam warkocze na buty dla żołnierzy, miałam tydzień na dzień i tydzień na noc. Potem praca przy piachu (na dworze), przy koksie, przy kamieniach (wyładowywałam ze statku), przy noszeniu ziemi, gdzie była straszna dozorczyń i kopała nas bardzo, widząc, że nie mamy siły tak dużo ziemi dźwigać. Ręce mi jak bezwładne opadały i zatrzymywałam na kolanach nosze z ziemią. Tam pracując,

wszystkieśmy płakały. Pracowałam w lesie, kilofem, łopata, budowałam szosę. Wszędzie w nagrodę otrzymywałyśmy szturchańce i kopniaki, najczęściej po twarzy i najrozmaitsze wymyślenia jak *verfluchte Bande Polaken*, *Schweine Polaken* itp.

Życie było coraz gorsze. Na początku nieraz była na obiad kapusta albo marchew i cztery kartofle (pół litra zupy). Na śniadanie gorzka kawa, kawałek chleba na dzień, na kolację woda z kranu zaprawiona żytnią mąką. Później życie [było] coraz gorsze, chleb z łupin z kartofli i kasztanów i to dwa kilogramy chleba na dziesięć osób. Zupy ćwierć litra, była zawsze brukiew z wodą, w tym kilka rozgotowanych kartofli, gdzie tylko łupiny nie chciały się rozgotować. Jak zaczęłam pracować w szwalni, same noce, w nocy o dwunastej dostawałam ćwierć litra kawy i pięć deko chleba. Po skończonej pracy o piątej szło się na apel na dwie – trzy godziny. Za cokolwiek była kara stójki – pół dnia albo cały.

W 1942 roku wzięto trzynaście z naszego transportu na rozstrzał. Wkrótce cały lagier i my dowiedziałyśmy się, że jesteśmy największymi zbrodniarkami, bo przyjechałyśmy same polityczne. Nasz blok miał nazwę *piraten Block* i *banditen Block*. Wszystkie dozorcynie do nas odnosiły się najgorzej, nasz numer: 7000, był znany w całym lagrze, a zwłaszcza dozorczyńiom.

14 września 1942 roku wzięto mnie na operację. Po zastrzyku obezwładniającym ogolono mi nogi (goliła więźniarka Niemka, Gerda) i zawieziono na salę. Przed salą dostałam zastrzyk usypiający, liczyłam tylko do sześciu. Po długim czasie (mówiły mi towarzyszki) przywieźli mnie do sali nr 4, tam leżałyśmy tylko na operacje kostne. Zbudziłam się dosłownie z wyciem, tak bardzo bolały mnie nogi. Czułam, jakbym miała je pokrojone na kawałki i trzymały się tylko żył, tak jakby były jeszcze przyciśnięte jakimś ciężarem. Na mój krzyk wpadła Gerda i dała mi morfinę (mówiła, że to morfina na uśmierzenie bólu). Czułam mniejszy ból, ale w nocy się wzmagał i nad ranem znów krzyczałam. Przez całą noc nie zmrużyłam oka i chociaż krzyczałam, nikt nie przyszedł, aż rano dostałam morfinę. I tak ze straszną temperaturą (40 z kreskami), ze strasznym bólem przeleżałam, nic nie jedząc, cztery tygodnie. Nie mogłam się przekręcić na bok, leżałam tylko na wznak, nie poruszając się, bo każde poruszenie sprawiało mi wielki ból. Dopiero po dwu miesiącach mogłam przy pomocy koleżanek podnieść się i usiąść. Wtedy zobaczyłam swoje nogi – od palców aż do pachwin miałam gips i za kolanami cały przód aż do tyłu była krew. Koło pachwin gips mnie bardzo uwierał, aż po miesiącu przyszedł doktor, ten co mnie operował

(albo jego asystent) bo operowali nas Fischer i Gebhardt. Przyszedł Gebhardt i zobaczył, że jestem bardzo rozpalona (czerwona). Powiedział do Gerdy, żeby otworzyła okno, bo nie ma powietrza i odkrył mi nogi. Zobaczył, że mam bardzo powiększone gruczoły i kazał obciąć trochę gipsu, bo się werznął w ciało. Zrobiło mi się lżej, bo ten gips bardzo mi przeszkadzał. Doktorka Oberheuser kilka razy badała mnie, czy nic nie jest z moimi płucami, bo kłuło mnie na przestrzał od leżenia tylko na wznak.

Odżywiali nas tym samym co w lagrze, tylko z tą różnicą, że brukiew i kartofle były przemielone. Przez okres silnej gorączki piłam zimną gorzką kawę (pojono mnie czajniczkiem).

Pierwsze kroki zrobiłam o kulach po czterech miesiącach. Mam operowane obie nogi. Przez cztery tygodnie dostawałam co wieczór morfinę (Gerda mówiła, że to morfina) na uśmierzanie bólu. Potem, jak już zaczęłam chodzić, a przedtem, to jest po dwu miesiącach i dwu tygodniach zdjęli mi gips. Nie wiedziałam, co było powodem straszego swędzenia lewej nogi, potem na własne oczy widziałam w gipsie dużą pluskwę.

Prawie po roku zaczęłam chodzić bez kul. Wzięli mnie do lekkiej pracy: pilnować schronów przez dwie godziny, potem przez cztery, na zmiany – dzień albo noc. W końcu do różnych prac. W roku 1944 wzięli mnie jeszcze raz na operację, ale uciekłam przez okno. Grożono mi śmiercią, ale operowali te, które im się udało zatrzymać w rewirze.

Brali w 1944 roku dziesięć naszych na operację, [ale] one nie poszły. Cały blok miał karę: przez trzy doby bez powietrza (nawet okiennice zamknęli) i żywności, cośmy miały do jedzenia, to nam zabrali. Przemocą wzięli dziesięć, a pięć operowali w bunkrze.

Ostatnio były masowe egzekucje setki kobiet, ładowali do samochodów i wywozili.

Tydzień przed wkroczeniem Rosji przyszła lista „królików” na rozstrzał, ale myśmy zmieniły numery i winkle i gdzie mogłyśmy, tośmy się kryły (na innych blokach). W tydzień później jak nas łapali, przyszedł rozkaz ewakuacji całego lagru. To nas uratowało.